

**ELIZA  
ORZESZKOWA**

ZA DOLINĄ  
RÓŻ

# Eliza Orzeszkowa

## Za doliną róż

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55842946](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55842946)*

*Za doliną róż:*

### Аннотация

Nowela nawiązuje do wydarzeń z czasów wojny rosyjsko-tureckiej i udziału w niej Polaków, synów chłopskich wcielanych do armii. Na wojnie tej ginie syn głównego bohatera, chłopca z nad Wisły, Kazio. Akcja noweli rozgrywa się na przestrzeni kilkunastu miesięcy, może nawet kilku lat. Narratorka-bohaterka najpierw poznaje historię życia około sześćdziesięcioletniego chłopca, który mimo wczesnej utraty żony, zachował pewną radość życia i wychował samotnie kilkoro dzieci. Największe nadzieje pokładał w synu Kaziku, który miał pozostać na roli, odziedziczyć dom i przejąć gospodarstwo. Kazik jednak zostaje przymusowo wcielony do wojska i jedzie walczyć do Turcji. Tam ginie, a ojciec nie może pogodzić się z tą śmiercią, przede wszystkim dlatego, że nie wie, gdzie i jak pochowano syna.

# Eliza Orzeszkowa

## Za doliną róż

W kwitnącym sadzie, jak w mlecznej topieli, stał ten domek stary, szary, trochę krzywy, z jednym kominem i małym gankiem, przed którym siedziały nadęte krzaki piwonii i stały się pulchne drobną zielenią nakrapiane zagony warzywne. Nizki mech, zielony i brunatny, który strzechę domu porastał, blask słońca zmieniał na połyskliwy pyszny aksamit. Nad tą strzechą, z blado-zielonych gałęzi wiązu, idylla ptasich śpiewów wzbijała się pod błękitne niebo; wzdymało ją niekiedy słodkie gruchanie oblatujących komin gołębi, lub przerzynało ostre, długie pianie koguta, którego pióra z za niskiego płotu, na młodej trawie podwórka, świeciły purpurą i złotem. Z jednej strony domku i z drugiej wił się na znacznej przestrzeni pas tak samo kwitnących sadów, wśród których bliżej do drogi lub dalej od niej, większe, mniejsze, starsze, nowsze, stały takie same domki, z takimi samymi aksamitnymi płachtami mchu na strzechach, gdzieś ze złocistymi w słońcu łatami świeżej słomy. Było ich kilkadziesiąt, a nad każdym prawie podlatywały stada gołębi i płynęły z kominów srebrne wstęgi dymu.

Ale domek pod wiązem, najgłębiej od drogi cofnięty ku brzegowi wązkiej, krętej, z za domków i sadów stalowo pobłyskującej Swisłoczy, tworzył z niskimi płotkami swemi wyosobnioną, w tej szlacheckiej okolicy, zagrodę, jakby na tle

rozległego obrazu wyraźnie odcinający się szczegół.

Tego kwietniowego poranku po raz pierwszy zobaczyłam tę nadświsłocką okolicę i poznałam właściciela téj zagrody. Stał on w sadzie, tuż przy domku, plecami oparty o gruby pień wiązu, w postawie zupełnego spoczynku i spokoju. Wysoki, barczysty, w kapocie, której poły opadały na zrudziałe cholewy obuwia, w czworokątnej czapce, baraniém futrem oszytój, zdala już wyglądał na silnego wyrobnika ziemi, na oracza i siewcę tych pól szerokich, płaskich, które, miejscami ciemne jak chleb razowy, a miejscami od młodej runi szmaragdowe, cicho teraz drzemały pod złotym płaszczem słońca. Zdala już widać było, że z pod brwi nawisłych wodził on oczyma po tych polach spokojnie i pogodnie. W nieruchomości jego było coś z pogody i wspaniałości siły, spoczywającej po pracy. Na jednej dłoni łokieć opierał, a drugą trzymał przy ustach krótką fajkę, z której ulatujący dym błękitnawy, nad baranią jego czapką czepiał się młodych gałązek drzewa. Kiedy ścieżką pod płotkiem biegnącą, a potem pasem murawy, przez koła zbrzdżonym i sad przerzynającym, zbliżałam się ku niemu, na pozdrowienie moje odpowiedział grzeczném pozdrowieniem i lekkim podniesieniem nad głowę czapki, którą wnet przecież osłonił znowu siwiejące swe włosy i czoło poprzecznymi zmarszczkami zorane. Widok osoby obcej i nieznanój nie zmieszał go, nie uradował, ani przykrości mu żadnej nie sprawił.

Wśród tych płotków, które z zagrody jego czyniły osobne królestwo, pod tém wysokim drzewem, ręką któregoś

z pradziadów zasadzoném, był uprzejmym, ale zupełnie spokojnym. Siwe jego źrenice czyste i błyszczące, z trochę tylko ciekawości przesunęły się po mojej twarzy, poczem, zaraz gościnnie wskazał spory płaski kamień, tuż przy chropowatej ścianie domku leżący:

– Proszę usiąść i spocząć – zaprosił.

Fajkę, z której popiół wytrząśł, do kieszeni kapoty schował; stopą zdeptał kilka na trawę upadłych iskier. Potem ręce poniżej piersi złożył i wtedy dopiero, na tle ciemno-brunatnej kapoty ku sobie zbliżone, przykuć one musiały do siebie wzrok i uwagę patrzącego, bo wyglądały daleko mniej na zwykłe ręce ludzkie, niż na symbol lub hjeroglif. Wyglądały one na symbol czegoś potężnego i niezmordowanego, a jednak dziwnie stéranego, wykoszlawionego i zczerniałego; na hjeroglif, który w swych boleśnie połamanych liniach, zawierał jeden z wiekuistych wyrazów ludzkiego losu. Widać było, że z pracowni natury wyszły one kształtne i nawet niezbyt wielkie, ale teraz ze skórą ziemistą, a tu i owdzie ceglastą barwy, z żyłami podobnemi do sinych powrozów, z mnóstwem dziwnych blizn i węzłów na palcach, niby plamami wapna bielą paznogi u końców świecących, przypominały one żelazo lemiesz, ostrza kos, twarde grudy ziemi, srogie wichry, upały, zamiecie i długie, długie już przeżyte lata. Wogóle, zbliżka wydawał się on daleko starszym niż zdaleka.

Około sześćdziesięciu lat mieć musiał. Reszta wielkiej, snadź niegdyś siły, utrzymywała mu jeszcze ciało w liniach prostych i

wyniosłych, ale poniżej karku plecy jego były już przygarbione, a oprócz tych fałd, które pod opadającymi na nie siwiejącymi włosy, przerzynały mu czoło, dwie inne, głębokie, rozdzielały ściągłe policzki od oczu z pogodną i czystą źrenicą, aż do ust bladych, trochę filuternie uśmiechających się pod krótkim i jeszcze płowym wąsem.

Kiedy uczynił parę kroków i grzecznie połą kapoty ocierał pył z kamienia, na którym usiąść miałam, spostrzegłam, że stopy jego ciężko i powoli odrywały się od ziemi, i że zbyt krótki oddech grał mu w szerokiej piersi lekko skrzypiącą chrypką. Jednak nie znać było po nim wcale, aby cierpiał. Plecami znowu oparł się o drzewo, i z filuternym uśmiechem, zapytywał mnie o miasto, z którego przybyłam. W filuterności tej było coś trochę łagodnie urągliwego.

– Przyznam się pani, – mówił, – że mnie, i zrozumieć nie łatwo, jak ludzie po tych miastach wyżyć mogą. Spojrzawszy, zdaje się, że tam i pięknie, bogato, wesoło; w oknach różne towary błyszczą, na ulicach mnzyczki grają. Ale zato ściski, huki, tłumliwość taka, jakoby gąszcz leśna i nieprzenikniona... A smrody, aż obłoków prawie nie widać! A jeden drugiego ściga, popycha! Żeby tak długo, to człowiek, zdaje się, albo-by ze wszystkiém zgłupiał, albo-by go z pochmurności i smętku nieprzyrodzona śmierć spotkała...

Mówił powoli, z rozwagą, z uśmiechem; gdy wspominał o obłokach, przelotnie spojrzenie ku niebu rzucił. Kiedy, odpowiadając, mówiłam o różnych złych i dobrych stronach

życia wiejskiego i miejskiego, parę razy potwierdzająco głową skinął.

– Rzecz to pewna, – zaczął znowu, – że od smętków i trudności nigdzie na tym świecie człowiekowi ubiedz nie można. Głogowe drzewo na wszelkiej ziemi rośnie, a czy to w mieście czy na wsi, nikomu ptaki same do garści nie lecą. Ale zawsze tu lepiej. Może to i od uzwyczajenia zależy, że człowiek na wsi, a osobliwie we własnym zaciszku żyjący, nawet w smętku i umęczeniu, łatwiej sobie pociechę i miłe odpocznienie znajdzie... Czy pani da wiarę, że kiedy ja nieboszczkę żonę swoją utraciłem, i myślałem, że z żalu za nią duszę wyzionę, to mnie ot te drzewo i te ptaszki, co w jego gałęziach śpiewają, i te pólko, które trzeba było codzień to z pługiem, to z broną nawiedzać, przy życiu i rozumie ostać dopomogły?

Trochę zmieszany umilkł.

– Człowiekowi prostemu trudno to wszystko, co czuje, wypowiedzieć, – dokończył; – a osobliwie na starość i język robi się ciężki.

Uważnie, ciekawie przysłuchiwał się temu, co o paru wielkich miastach opowiadałam, a gdy umilkłam, zaczął znowu:

– Mało ja o tém wszystkiém wiedzieć mogę, bo, nie wstydząc się, powiem pani, że przez całe życie, dwa razy tylko przyszło mi prawdziwe miasto nawiedzić, raz w kawalerskich jeszcze czasach z fantazyi i ciekawości, drugi raz, z chorą żoną, do doktorów. Do miasteczek często gęsto jeździć wypada, to na targ albo kiermasz, to za różnemi tam interesami, do kościoła też

uczęszczam, krewnych nawiedzam, ale to wszystko w bliskości o milę, o dwie, najwięcej zaś kiedy o trzy... A dalej, to tylko dwa razy w życiu swoim wyjeżdżałem. Nieboszczka moja żona do Ostrejbramy piechotą chodziła; ja nie. Mnie i tu do Pana Boga pomodlić się dobrze: czy to w polu, czy pod tém drzewem, czy też kiedy rankiem jutrzeńka z nad wody wychodzi, a ptactwo i żywioł wszelki po swojemu Pana chwalić zaczyna.

Z zamyśleniem, ciszej, po niebie, trawie i kwitnących drzewach wzrokiem wodząc, dodał:

– Wszędzie jest Pan Bóg... w niebie, na ziemi...

– W sercu uczciwego człowieka... wtrącałam.

Przyjaźnie na mnie popatrzył.

– A tak, sprawiedliwie pani powiedziała. Uczciwość, to najpierwsza i najważniejsza religia, a kto uczciwy, ten Boga w swoim sercu ma...

Dziwny blask cichego zadowolenia, prawie szczęścia, zajaśniał mu na sfałdowanym czole, z którego na chwilę czapkę zdjął, i znowu nią głowę osłoniwszy, fajkę z kieszeni, a woreczek z tytuniem z-za poły kapoty wyjął.

Ruchem tym odstonił na piersi białą, kuźelną koszulę z kołnierzem u szyi tasiemką związanym, a kiedy tytoń do fajki nakładał i głowę pochylił, z za grubego, ale śnieżnie białego płótna, szyja jego wychyliła się, aż do czerwoności ogorzała z sinemi sznurami grubych żył, koścista i chuda silnego, ale starego człowieka.

Chwilę milczeliśmy oboje, w zamian szczygły śpiewały i

pliszki na zabój świegotały w gałęziach wiązu, a z wnętrza domku, wyraźniej dochodziło głucho, miarowe stukanie tkackich krosien. Biała gołębica fruwała z nad strzechy i uleciała w przeciwną stronę sadu; za nią przemknął powietrzem różowy gołąb', i wnet oboje w gęstwinie kwitnących wisien zagruchali to razem, to znów naprzemiany.

W powietrzu zmaćiło się coś, zadrgało; puszysty zwój białych obłoków przepływał pod słońcem zasłaniając je, to odsłaniając. Ruchome cienie ślizgały się po drzewach i przykrywały trawę, liście wiązu szeleściły, kogut za płotem kilka razy przeciągle, żałośnie zapiał. Ale trwało to przez parę minut zaledwie, po czém, puchy obłoków popłynęły dalej błękitnym przestworzem, kogut umilkł, drzewo znieruchomiało, świat stanął znowu w jasnej i cichej pogodzie, wśród której tylko szczygły rozśpiewały się ze zdwojoną mocą i słodziej jeszcze, miłośniej niż wprzód gruchały gołębice.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.